DZIENNIK Mód Paryskich,

Z RYSUNKAMI KROJÓW.

DNIA 1. LISTOPADA 1840. Ner. 21. ROK PIERWSZY.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca; zawiera opisanie mód, oraz przedmioty ku nauce i zabawie służące. Do każdego numeru dołączona jest rycina kolorowana mód. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego, pod liczbą 301 w mieście; tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych i księgarniach.

MODY.

Stroje damskie. Rękawy obcisłe u sukień zdają się brać pierwszeństwo i coraz ustalać. Można prawie z pewnością powiedzieć że za miesiąc od dzisiaj nie będą już nosić rękawów szerokich, pomarszczonych u pleców, a zwężonych koło ręki; rękawy obcisłe i średniej szerokości utrzymają się zapewne przez zimę. Długość sukień będzie zapewne ta sama co dzisiaj. Oto są najmodniejsze dziś ubiory:

Negliż. Podwłośnik z krepy *Rachel* zwanej, z rękawami szerokiemi jak u zakonnic; pas jedwabny; pantofle z safianu błękitnego, lub z tureckiego atłasu. Czypeczek muszlinowy, dziergany; kołnierzyk z batystu gładkiego, wstążka może być rozmaitego koloru z fontaziami.

Strój do wyjścia. Suknia z materii szkockiej w bardzo drobne kratki pomarańczowe i czarne, albo z krepy mazagrańską zwanej, koloru rezedy. Szal kaszmirowy w kraty, z dnem czarnem; kapelusz ze słomki włoskiej albo z axamitu fioletowego, ze wstążką z axamitu strzyżonego. Buciki grodenaplowe lub atłasowe koloru szarego, pomarańczowego albo zielonego. Rękawki i kołnierzyk dziergane. Chustka z jednym końcem haftowanym, ozdobiona męską korunką; rękawiczki duńskie.

Strój wieczorny Szlafroczek otwarty na przodzie, w kraty fioletowe i białe, albo suknia z krepy koloru brzoskwiniowego, z rękawami męskiemi. Girlanda z georginij mieszanych. Czypek korunkowy z bukietem kwiatów pomarańczowych; trzewiki atłasowe; ozdoby z pereł i drogich kamieni, ale skromne.

Ostatnią razą na operze komicznej zwracały szczególniej uwagę dwie damy młode i eleganckie. Jedna z nich miała szalik z kaszmiru białego, druga z kaszmiru żółtego tureckiego.

Spodnice z krynoliny doznały znacznych odmian. Nietylko je ulepszono w stanie, ale robią je teraz tak starannie, że są równie rozmaite jak suknie. Ostatnie roboty są tak piękne że się dziwić trzeba jak z krynoliny można było coś podobnego utworzyć: wyglądają zupełnie jak muszlinowe.

Robią teraz prześliczne kapelusiki, które bardzo zgrabnie przylegają do twarzy, zaledwie dotykając czoła. Zwykle są z axamitu indijskiego, koloru szmaragdowego, szarego, fioletowego, lub błękitnego szwedzkiego. Kto utrefia włosy *à la Sevigné* z wieloma spadającemi lokami, kapelusze te wielce ubierają; garnirują się skromnie, gładką wstążką, korunką czarną lub białą, kwiatami prawie nigdy.

Co do płaszczyków damskich nic w tej mierze niema zdecydowanego; te które rycina przedstawia są dziś najużywańsze.

Stroje męskie. W paletotach niewidać żadnych odmian chyba co do guzików i kieszeń; tych ostatnich bywa niekiedy po dwie, trzy i cztery, wszelako radzimy trzymać się następującego przepisu: niech poła szeroko zachodzi jedna na drugą, a w każdej niech

będzie jedna kieszeń; klapy muszą się stosować do osoby, w miarę jak ta ma piersi zaokrąglone lub nie; guziki niech będą duże i rozchodzą się ku dołowi.

Spodnie noszą z materii szkockiej w najtęższym gatunku. Niekiedy widać je u samej stopy obcisłe, a szersze nieco wyżej.

Ludyci.

POWIASTKA.

Rok 1809 pamiętnym jest w Anglii napadami Ludytów. Byłyto bandy rabusiów, którzy uorganizowani w każdem hrabstwie pod dowództwem pewnego naczelnika, zgromadzając się po nocach w umówione miejsca, wdzierali się przemocą lub zdradą w zagrody i zamki, rozpraszając się znowu rankami. Zbrodnie ich, sposób postępowania tyle tajemniczy, stały się postrachem wszystkich okolic. Dla bespieczeństwa zbójcy ci rabowali tylko pieniądze i bilety bankowe, będąc zawsze starannie zamaskowanymi. Grono ich miało się składać z rękodzielników wszelkiego rodzaju, rzemieślników, a nawet wsławionych kupców. *Hampshire* uszło dotychczas temu powszechnemu nieszczęściu; ale pewność bespieczeństwa, usypiająca ostrożność mieszkańców, miała już wkrótce być przerwaną.

W pięknym dniu miesiąca października wyszła młoda panienka z Trzech-dębów, posiadłości, którą trzymała wdowa, nazwiskiem *Hewson*, dążąc do miasteczka *Ludgershall*. Odległość jego wynosiła blisko trzy mile, a wędrowniczka skorym postępowała krokiem. Przed zachodem słońca przybyła w miejsce przeznaczenia, i weszła do ozdobnego sklepu strojów, nad którego drzwiami błyszczał wielkiemi literami napis: Pod złotą kulą; Wiliam Harding. Jedna tylko w podeszłym wieku kobieta siedziała sama w sklepie.

A! jak się masz? droga Elżbietko, rzekła na widok młodej wchodzącej; witaj, witaj! jakież szczęśliwe sprowadza się zdarzenie? Tożto ucieszy się Wiliam!

—Dziś mamy sobotę, odezwała się Elżbieta, trochę zakłopotana; jutro dzień urodzin pani Hewson... jak może wiecie... Zleciła mi kilka sprawunków, dla tego przychodzę...

—Zaraz, zaraz, zawołam Wiliama, muszę go uprzedzić... gniewałby się Wiliam! Wiliam! wołała ku wschodom prowadzącym na wyższe piątro, znijdź moje dziecię, dobre nowiny!

— Mój boże!... dobra matko... mówiła rumieniąc się ucieszona Elżbieta, na cóż.... nie trzeba było...

— Elżbieta tutaj? zawołał Wiliam Harding, poznając głos młodej dziewczyny, droga Elżbieto! siadajże, musisz być zmęczona. Matko! kilka kropel twego doskonałego likworu! to orzeźwi Elżbietę. Jakże jesteś piękną, dodał ujmująco-pieszczotliwym głosem, jak ci do twarzy w tym stroju!

Elżbieta nic nie odpowiadała na te pochlebstwa, chociaż miłe w niej wzbudzały uczucia; lecz chcąc pokryć pomieszanie wodziła wzrokiem w około bawialnej komnaty, do której ją wprowadziła pani Harding.

— Co tu pięknych rzeczy! mówiła; musiałeś pan ponieść wiele wydatków od czasu jakeśmy się widzieli. Zegar.... nowe sprzęty ...

— Wiesz dobrze dla kogo to wszystko przeznaczono, wesoło odpowiadał pan Wiliam; kiedy chłopiec ma ochotę się żenić nie powinienże przysposobić wszystko do godnego przyjęcia swej żony? A kiedy tą żoną jest Elżbieta, możnaż uważać na wydatki? Jeszcze dni kilka, a najdroższe dla mnie ziszczą się nadzieje.

— Już czas żeby się to skończyło, odezwała się pani Harding przyrządzając ulubiony swój likwor. Od miesiąca ułożone zamęście, powinnibyście się byli już pobrać.

— Cóż chcesz matko! interesa, rachunki. Do urządzenia gospodarstwa trzeba gotowych pieniędzy, a handel tak źle idzie, o pieniądze tak ciężko, kapitałów trudno poodbierać. Elżbieta pojmuje moją niecierpliwość, i wie, że nie moją winą opoźnienie.

— Niech się pan nie wymawia, niema przyczyny przyspieszania naszego zamęścia, rzekła Elżbieta; a wyraz nieukontentowania, który ją piękniejszą czynił, dowiódł nieszczerości słów.

— Jakbym był szczęśliwym widzieć cię już zasiadającą w tym sklepie! Przechodzący stawaliby aby cię podziwiać. O, ty nie jesteś stworzoną do wiejskich robót. Te piękne rączki ozdobią sklep mój, a miłość moja uświetni je.

Elżbieta odwróciła się by ukryć miły uśmiech. Pani Harding skończyła przyrządzenie likworu, i drżącą ręką napełniła trzy szklanki.

— Więc jutro urodziny pani Hewson? rzekła, niech ją bóg błogosławi!

— Tak jest, matko. Dzisiaj wszystkim służącym pozwoliła przepędzić wieczór w *Ludgershall*.

— Wszystkim? zapytał Wiliam.

— Wszystkim. Zostało nas tylko troje, pan Hewson, Tomasz i ja.

— Ten Tomasz, jak mówią, ośmiela się kochać ciebie.

— Dobryto chłopiec; a ta zbrodnia nie ujmuje nic jego dobroci

— Pani Hewson chciała cię wydać za niego?

— Prawda, i gdyby nie moje grymasy....

— Jakże czcigodne grymasy! za które nieskończenie wdzięczny jestem; ale niech pan Tomasz nie staje mi na drodze, bo...

— Droga Elżbieto! przerwała pani Harding, zupełnie dotychczas swoim napojem zajęta, twoja szklanka stoi pełna, skosztuj moje dziecię, zdaje mi się że dosyć słodki.

— Posłuchaj Elżbieto! rzekł Wiliam po chwili namysłu, dozwól mi jednej łaski. Mam wyjeżdżać tej nocy do *Basingstoke*, zostań tu do jutra z moją matką.

— Nie mogę. Pani Hewson byłaby niespokojną; ale odjeżdżać tej nocy! nie boiszże się...

— O, rzekła pani Harding, od kilku miesięcy często mu się to wydarza, interesa, widzisz moje dziecię, interesa...

— Odmawiasz mi Elżbieto? dozwól więc przynajmniej bym ci towarzyszył do domu

— Nie, niewymagaj tego, toby było nieprzyzwoicie; lecz jutro jeżeli czas dozwoli, pani Hewson będzie uradowaną...

— Jutro? nieomieszkam. Z pewnością

— Elżbieto! zaczęła pani Harding, jeszcze jedną szklankę.

— Dziękuję, dobra matko, już pożno, zaledwie będę mogła zajść przed nocą do domu.

— Kiedy tak, mruknęła staruszka, to go sama wypiję!

Elżbieta porobiwszy sprawunki, które jej zleciła pani Hewson, z pośpiechem kroczyła drogą napowrót. Radością biło jej serce, a wyobraźnia pięknemi barwami malowała jej miłość Wiliama, jego kształtną postawę, szczęście które gotował żonie. Elżbieta Abberty była córką wiejskiego proboszcza, który w młodym jeszcze umarł wieku, zostawując małą Elżbietę, biedną, bez sposobu utrzymania, na łasce parafii. Pani Hewson właśnie utraciła była swego męża, pierwej już przyjęła w opiekę małego chłopca, nazwiskiem Tomek, teraz wzięła i Elżbietę. Będzieto drugie moje przybrane dziecię, mówiła dobra kobieta, będzie siostrą Tomka; biedne sieroty! zawdzięczą mi na starość, kto wie, może ich pożenię. Elżbieta miała dopiero lat piętnaście, gdy już pani Hewson zdawała na nią wszelkie domowe starania, jakich wymagał ster obszernego gospodarstwa. Tomek dozierał robót w polu, powracając w wieczór znużony całodniowem utrudzeniem rzeźwił się widokiem pięknej siostry. Elżbieta żartowała czasami w złośliwej pustocie, bez litości, z niewykwintnej postawy biednego Tomasza. Pamiętała ona dobrze czyją była córką, i o ile urodzenie wynosiło ją nad tych, pomiędzy których pomiotem losu ujrzała się rzuconą, dla tego też wydawała rozkazy z taką godnością, jaka zaledwie nie sprzeciwiała się skromności całej postawy, i łagodnym spojrzeniom wielkich niebieskich oczu. Poważano ją więcej niźli samę panią Hewson; a służący byliby ją może niecierpieli, gdyby wrodzona jej dobroć wszystkich miłością nie napawała. Lecz jakim sposobem podobał się jej Wiliam Harding? długoby o tem mówić. Jego znalezienie się, barwna mowa, wyszczególniały go nad innych, a powab widoku porzucenia wiejskiego życia, ujął młodą dziewczynę. Elżbieta mało zważała na uwagi swej dobrodziejki, która widząc nakoniec iż nie może skłonić córki, zezwoliła na jej zamęście z kupcem, odstępując od swego przedsięwzięcia. Elżbieta nie posiadała majątku; lecz wszyscy wiedzieli, że pani Hewson dosyć znacznym zbogaci ją posagiem Nadzieja ta, połączona z tylą wdziękami Elżbiety wiele jej przyciągnęła czcicieli; lecz z nich wszystkich Wiliam Harding, zdawał się zasługiwać najwięcej na pierwszeństwo jakie mu oddawano. Wychowanie jego było wyższe nad zwykłych ludzi. Czynny, przedsiębierczy, znacznie podniósł swój dom handlowy w przeciągu dwoch lat, i obszernym chlubił się kredytem, nic mu nie można było zarzucić, oprócz dumy, zwykłej wady dusz przedsiębierczych. Pani Hewson zważając korzyści związku tego, przebaczała poczęści zniweczenie swych drogich nadziei i boleść biednego Tomasza.

Noc już zapadła, a gęsta mgła owiła ciemnym mrokiem ziemię. Elżbieta podwajała kroki. Dla bliższej drogi zboczyła z bitego gościńca na krótszą ścieżkę, i właśnie

szła około zwalisk zamku, którego dziedzic powiesił się przed piętnastą laty. Zabobonni wieśniacy unikali z trwogą tych murów; lecz Elżbieta, dzięki wyższemu wychowaniu które odebrała, i niezgiętemu sposobowi myślenia, opierała się śmiesznym strachom; przecież serce jej mocniej bić poczęło, wstrzymywała oddech, bojaźliwie rzucała w około częste wejrzenia, i ukradkiem lekką stopą suwała po łopuchach łąki. Naraz wstrzymuje się.... głuchy szmer uderzył jej ucho.. kryjąc się poza żywopłot słucha, i postrzega w cieniu dwoch ludzi, przesuwających się pojednemu ku zwaliskom. Kto są ci ludzie? Jaki zamiar sprowadza ich w ten straszliwy zakąt?... Elżbieta trzęsąc się, miotana tysiącznemi uczuciami obawy, daleko okoliła zwaliska, by nie wyjść z poza zasłony płotu, zakrywającego ją, i szczęśliwie stanęła nakoniec w domu gdzie ją oczekiwał Tomasz przy blasku iskrzącego ognia. Pani Hewson już spała w swym pokoju, służący jeszcze nie powrócili z zabaw w *Ludgershall.*

— Bogu dzięki, żeś już przyszła! rzekł Tomasz podniecając kilku wiązkami ogień, widzisz jak Tangs cieszy się tobą, pójdź tu! Tangs! walasz swą panię.

Silny brytan, stróż domu, nie postrzegał że przymilenia jego stawały się uprzykrzonemi.

Coż ci się tam takiego stało? zapytał Tomasz postrzegając bladość i wzruszenie Elżbiety. Opowiedziała mu swoje przygody.

— Pewne jacyś ubodzy szukali tam schronienia; sądził Tomasz.

A Ludyci! Ludyci! tyle o nich mówią.

— W Kumberland, ale u nas w Hampshire nic o nich nie słychać.

— Mój boże! jak ja się bała!

— A pan Wiliam Harding nie mógł cię odprowadzić? zapytał z ironicznym przyciskiem.

— On chciał; ale sądziłam że nieprzystoi....

— Ach Elżbieto! wzdychając, mówił Tomasz po długiem milczeniu; gdybyś ty była chciała!... oto pani Hewson, droga nasza matka, słaba, biedna! Oby ją bóg błogosławił! wiesz co ona myślała dla nas uczynić.

— Nie mów o tem Tomaszu, jeżeli kochasz swą siostrę, daj pokój!

— Jużto raz ostatni — potem zamilknę na zawsze! O! to pomieszkanie mogło nas widzieć tak szczęśliwymi. Tybyś mogła była być w nim panią! Wszyscy, ja pierwszy jakżebyśmy byli szczęśliwi pod twojemi rozkazami. Żadnych umartwień! żadnych niepokojów! O! losy handlu są czasami bardzo niebespieczne; ale ziemia wiecznie obficie żywi tych co ją uprawiają. Inni może cię oślepią piękną mową, mogą ci bogactwem zająć umysł i oczy; ale ktoż cię zdoła kochać tak otwarcie, szczerze, tak wiernie jak biedny sierota z tobą wychowany, twój brat, który....

— Na coż te słowa? mój przyjacielu! czy ty nie wiesz?.. boże!... dla czego pies tak warczy?

— Biedny pies! i on od ciebie będzie rozłączony! Ktoż potem będzie tak pielęgnował naszą dobrodziejkę, naszą matkę! O jakże ten dom będzie smutny, martwy bez ciebie; ty go ożywiasz! twoim widokiem każdy morzy smutki, dźwięk twego głosu ożywia serca ..

— Ty się ożenisz, a inna będzie ci tem czem jabym może być niezdołała.

— Ożenię się? o nie! ja całe moje życie za tobą płakać będę; ale się nie ożenię. Tangs! pójdź tu! Tangs! leżyć!

Tangs usłuchał, i warcząc układł się u nóg swego państwa.

Wieczór był zimny, deszcz mocno bił w okna, a wiatr hasał z łoskotem po wysokich kominach. Naraz pies zerwał się, pobiegł ku drzwiom i zawył jękliwie.

Może jaki obcy pies włóczy się po podwórzu, a może nasi ludzie wracają z miasta; był domysł Tomasza.

Tangs wytężył wszystkie muskuły, płowa sierść mu się najeżyła, i pies wydawał najstraszniejsze oznaki niespokojności i gniewu.

— Musi być coś nadzwyczajnego, mówiła Elżbieta, wyjdźmy obaczyć co się tam dzieje. Otworzyli drzwi i w tejże chwili brytan wyleciał na podwórze szczekając z wściekłością.

Co tam takiego? rzekł Tomasz, nie mogę nic widzieć.

— Patrz, mówiła Elżbieta, dobywają się do bramy, nie słyszysz?

W rzeczy samej pomimo szczekania psa słychać było około bramy przytłumione głosy kilkunastu ludzi.

Tomasz postąpił z odwagą:

— Kto tam? zapytał śmiało. Kto jesteście?

— Otwierajcie, Ludyci! pomału dał się słyszeć głos ponury; lub wywalimy wrota!

— Ludyci! krzyknął Tomasz, Ludyci!

I w tej chwili kilka głów zamaskowanych

pokazało się na murze, a Tangs wściekłą paszczą rzucił się na zbójców.

—Elżbieto! Elżbieto! odwagi! brama mocna, pies silny, ja się będę bronił, biegaj! biegaj przez ogród! wołaj pomocy!

I uzbrojony długiemi widły, zachęcił psa i rzucił się grożąc przebiciem pierwszego, któryby mu się nawinął.

Wielkość niebespieczeństwa wróciła Elżbiecie całą moc ducha. Przemknęła przez ogród i wbiegła do wsi.

A coraz więcej konały krzyki i szczekanie psa.

Zadyszana, pełna obawy, zaledwo dobiegła do pierwszych chat będących w dość znacznej odległości. Na samo imię Ludytów zerwali się mieszkańcy i uzbrojony orszak rzucił się z pospiechem na ratunek. Elżbieta postępowała na czele. Obraz matki konającej pod razami zbójców, widok Tomasza zabitego w jej obronie, pogrążał młodą dziewczynę w jakiś rodzaj prawie obłąkania. Gdy się zbliżała do domu już głęboka cisza była w około. Światło błyskało w kilku oknach, wszystko oznaczało że zbójcy albo już odeszli, albo będąc panami całego domu, spokojnie kończyli dzieło plądrowania i morderstwa. Wtem wystrzał pistoletu zagrzmiał ze środka mieszkania, jako znak odwrotu, i wkrótce dały się słyszeć kroki odchodzących ludzi w różnych kierunkach. Nieuważając na niebespieczeństwo pierwsza wstąpiła w podwórze Brama leżała wywalona, strzegł jej trup wiernego brytana. Wieśniacy zbliżali się z podejrzliwą ostrożnością. Elżbieta biegnie dalej, noga jej utyka, schyla się — okropność! Tomasz zbroczony potokiem krwi, leży bez znaku życia! Co się stało z panią Hewson?.. W chwili gdy Elżbieta szalona z boleści bieży przez schody do pokoju matki, postrzega w cieniu postać człowieka przesuwającego się do ogrodu. Z przeraźliwym krzykiem rzuca się za nim, chwyta go i konwulsijnem objęciem zawiesza w około niego. Nadarmo uchodzący wydziera się by uciec. Okropna boleść, trwoga, wytężenie nerwów, jakąś straszną, palącą gorączką zolbrzymiły siły Elżbiety. Sprowadzeni krzykiem rzucają się w tę stronę ludzie. Zamaskowana postać natęża całą moc męską dla wydobycia się, ręce jego z wściekłością odtrącają dziewczynę — naprózno — aż usta jego szepnęły: Elżbieto!

A tego jednego słowa czarodziejski skutek. Ręce opuszczają zdobycz, głowa zwisa i Elżbieta w konwulsijnych drganiach pada jak bezduch o ziemię.

Korzystając z ciemności i zamieszania sprawionego tym wypadkiem, zamaskowany człowiek uszedł, a wszelkie starania by go dogonić były nadaremne.

Panią Hewson znaleziono prawie martwą, związaną na łóżku Zabrali jej zbójcy znaczne pieniądze, które przed kilką dniami odebrawszy nie miała jeszcze czasu złożyć u swego bankiera.

Śmiały ten napad zrobił wielkie wrażenie w *Ludgershall;* ale pomimo największych starań, rząd nie mógł wykryć złoczyńców.

Rany Tomasza nie były śmiertelne. Troskliwe starania pani Hewson i Elżbiety przywróciły mu zdrowie. Elżbieta od tej okropnej nocy wpadła w jakiś ponury smutek.

Na wszystkie pytania czyto sądu, czy innych odpowiadała, iż nie mogła poznać człowieka który się wydarł z rąk jej. Z niespokojnością oczekiwała chwili w której Tomasz odzyskując siły, mógł już przemówić. O, wtedy znać było z ich twarzy że udzielili sobie tajemnicę — tajemnicę straszliwą! Elżbieta położyła palec na usta jakby nakazywała bratu wieczne milczenie.

Elżbieta była w kilka dni potem w *Ludgershall*, a mieszkańcy miasta tego nieskończenie się dziwowali, gdy Wiliam Harding, ów kupiec wsławiony, spiesznie przedał swój handel i uprowadzając z sobą starą matkę, wyniósł się natychmiast, szukać szczęścia w dalekich osadach cichego morza.

W sześć miesięcy później Tomasz i Elżbieta siedzieli w ustroniu bawiąc się rozbieraniem pięknych widoków przyszłości. Waleczny Tangs, wyzdrowiony wielkiemi staraniami, spoczywał u nóg swych wybawicieli. A pani Hewson pochylona już nieco wiekiem, przerywając im słodkie samnasam, zwiastowała z wzrokiem pełnym uciechy macierzyńskiej:

Jutro, moje dzieci, jutro się pobierzecie!

Władysław Z.

MELODIA HEBREJSKA,

z Byrona.

Smętną jest dusza moja! chwyć arfę, wszak jeszcze
Lubię ją — niech jej dźwiękiem ucho moje pieszczę,
Niech powabna twa ręka tony czarownemi
Na chwilę myśl stęskniona oderwie od ziemi;

A jeśli jest w mem sercu nadzieja ciesząca
Lub choć błahy jej promyk, wdzięk twych strun
je zbudzi,
Jeśli jest w oku mojem łza skrzepła i drżąca,
Spadnie — i przypalone czoło me ostudzi!

Lecz wybierz nutę smętną; wesołemi tony
Niechciej spiewaku drażnić żal nieukojony!
Powtarzam ci minstrelu: łez pragną me oczy
Lub serce się rozpryśnie z żalu co go tłoczy.

Za długo boleść swoją w milczeniu karmiło...
Bez ulgi, bez spoczynku, w smutku się trawiło,
Dziś albo prysnąć musi bolem przyciśnione,
Albo uledz harmonii wdziękiem zniewolone.

—*a.*

Czarny Duglas.

Z pomiędzy miejscowych podań, w które tak obfituje Szkocia, a z czego jej narodowi poeci korzystając, tak rozsławili ją w nowszych czasach, zaleca się niepospolitą pięknością następujące o Duglasie.

W *Selkirkshire* w południowej Szkocii, jest zamek *Blockhous* należący do dóbr hrabi *Tarquair*, od którego w niejakiej odległości płynie strumień wpadający do rzeki *Jarrow*, zwany strumieniem Duglasowym Upewniają, że z tego zamku wykradł był pewien rycerz dziewicę z przemożnego domu Duglasów, a uciekając zatrzymał się przy tym strumieniu dla ugaszenia pragnienia i wypoczęcia z trudów. Zdarzenie to z wdziękiem opisane w jednej z balad szkockich, przytaczamy tu dosłownie:

»Wstań, wstań Duglasie, wdziej jasną zbroję i niedopuść by córka twoja szła za mąż w ciemnościach nocy! Wstawajcie, wstawajcie moi siedm szlachetni synowie, wdziewajcie zbroje jasne i strzeżcie lepiej waszej siostry najmłodszej, bo starsza już uwieziona tej nocy.”

Wsadził ją na rumaka białego jak mleko, sam dosiadł jabkowitego, miedzianą trąbkę zwiesił u boku, i w czwał się puścił. Obejrzał się lord Wilhelm czy kogo nieujrzy, i ujrzał siedm braci swojej kochanki, którzy go tuż tuż doganiali.

»Zsiądź, zsiądź lady Małgorzato! potrzymaj konia mego za uzdę, niech odeprę pogoń twoich siedmiu zuchwałych braci i ojca.”

Śnieżną ręką ujęła rumaka, i ani jednej łzy nie puściła, widząc siedmiu braci poległych, aż obaczyła upadającego na siłach ojca, którego czule kochała.

»Ach powściągnij swe ramię Wilhelmie! bo twoje cięcia okropne! Mogłabym niejednego znaleść kochanka, lecz ojca nigdy nieznajdę!” Wyjęła cienką holenderską chustkę i obwiązała rany ojca, który był od skrwawionego płótna czerwieńszy.

»O lady Małgorzato! wybieraj: lub siadaj zemną, lub zostań!” — Ach siadam z z tobą Wilhelmie, bo niemam innego przewodnika prócz ciebie.

I wsadził ją na białego jak mleko rumaka, sam dosiadł jabkowitego, miedzianą trąbkę zwiesił u boku i zwolna jechali.

Jechali w blasku xiężyca, i przyjechali nad strumień, na którego brzegu zesiedli. Zesiedli napić się wody u przejrzystego zdroju. Gdy się nachylił, krew z jego piersi zdrojem trysnęła, a w niej się trwoga ozwała: »Ach wsiadaj, wsiadaj Wilhelmie! lękam się czyś ty śmiertelnie niezraniony.” — To odblask mego czerwonego płaszcza zrumienił wody przejrzyste.

I znów jechali w blasku xiężyca, aż ujrzeli dwór matki, u którego bramy zesiedli.

»Wstań, wstań o matko moja! zawołał, wstań i puść do komnat syna swojego... wstań matko! i witaj oblubienicę, której rękę tej nocy zyskałem. Zaściełaj łoże o matko, zaściełaj szeroko i miękko, kładź lady Małgorzatę przy moim boku, mój nocleg będzie najsłodszy!”

Jeszcze było daleko do północy, gdy skonał lord Wilhelm; jeszcze było daleko do świtu, gdy lady Małgorzata skonała... Bogdajby wszyscy uciekający kochankowie byli szczęśliwsi!

Lord Wilhelm pochowany był w kościele panny Marii; lady Małgorzata w środku chóru; na jej grobowcu wyrosła piękna róża, głóg pyszny wznosił się nad nim. Obie krzewiny wyciągały ku sobie gałąski, jakby się chciały połączyć, i poznawano w nich jeszcze dwa kochające się serca. Nadszedł czarny Duglas, zdziwił się, lecz się nie wzruszył: wyrwał głóg bujny i rzucił go w *jezioro panny Marii.*

Bogowie Grecii.

Czytelnicy nasi znają zapewne jednę z najpiękniejszych poezij Szylera pod tym napisem. Przełożył ją świeżo Józef hr. Dunin-Borkowski. Czytaliśmy z prawdziwą przyjemnością jego przekład, wyszły z druku nakładem Milikowskiego, i możemy go śmiało zalecić miłośnikom i znawcom pięknych two-

rów. Wiemy jednakże, iż są tacy, którym się on niepodoba, a ci są trojakiego rodzaju: Jedni nie lubią żadnych wierszów, i są przekonani że pan bóg dał ludziom mowę na to aby mówili bez rymów. Drudzy dali dowody, że mogliby sami korzystnie pracować w tym zawodzie; ale że to niemało zdrowia kosztuje a źle się wypłaca, zwrócili się ku rzeczom popłatniejszym. Takowi mają zwyczaj ganić wszystko co nie jest rzadką osobliwością, a czegoby bez zaryzykowania swojej powagi zganić nie mogli. Inni nakoniec lubią poezię i chętnie o niej rozprawiają, ale się na niej nic a nic nieznają. Do tych ostatnich należy bezimienny rozbieracz powyższej poezii w dodatku *) do *gazety porannej* warszawskiej wydawanej przez Hipolita Skimborowicza. Zestawił on z przekładem Borkowskiego przekład hr. Kicińskiego, z którego widoczna, że Kiciński sucho i bezbarwnie raczej słowa a nie myśl tłómaczył, gdy przeciwnie Borkowski oddawał myśli Szylera zwięźle i piękną polszczyzną. Z takich dowodów zawiązał rozbieracz wniosek przeciwny, a w końcu obwinia Borkowskiego o wprowadzanie do języka polskiego słów obcych jako to: pięknota, wyżyna, wskrześca, nieżywszy i t. p. Minął czas, gdzie na usprawiedliwienie się z takiego występku trzeba było otwierać kodexa słownikarzów; mnóstwo słów i wyrażeń powiatowych ubogaca dziś z każdym dniem język piśmienny, który nie jest mumią aby go zamknąć w słowniki. Ależ wszystkie powyższe wyrazy znajdują się w słowniku Lindego, proszę obaczyć! a nikt z dobrze umiejących po polsku nie odda inaczej wyrazu niemieckiego *das Schöne* jak tylko piękności. Z czego się pokazuje że pomieniony rozbieracz nietylko się sam nad językiem niezastanawiał, ale ledwie co więcej nad gazetę poranną i jej dodatek czytuje.

Ale dla czegoż p. B. pisze imiona greckie Alfews. Kitera, nie Alfeusz, Cyterea? — Bo tak je wymawiają Grecy, trzebaż je koniecznie łacinić? — Dla czego umieścił oryginał obok przekładu? — Bo nieudawał swej roboty za coś więcej niż jest w istocie, i każdemu porównanie ułatwił. Jestże to nieskromnie?.. Dla czego tak małą xiążeczkę w świat puścił, dziś, kiedy takie ogromy wychodzą? — Zasługa wielka czy mała nieprzestaje być zasługą, a uznając ją wdzięcznie w małych rzeczach, możem mieć prawo do żądania wielkich. *A. B.*

*) Piśmiennictwo krajowe Nr. 41. z t. r.

Teatr.

Dwaj sierżanci, dramat p. *d'Aubigny* w trzech aktach, przedstawiano 14 października. Niezamilczym głównej wady tej sztuki tembardziej, że się często w dramatach wydarza. Oto akt pierwszy nie był początkiem działania lecz tylko przemową: służył on jedynie ku obznajomieniu nas z osobami i ich stosunkami ku sobie. Wszelkie przygotowania tego rodzaju powinny się odbywać nieznacznie w samym ciągu działania, a zdolny pisarz umie właściwą chwilę upatrzyć, w której słuchaczom jeden lub drugi szczegół napomknie tak, iż niewydając się zawcześnie z tem co zamyśla odsłoni im i zdarzenia i stanowisko z jakiego je pojmować trzeba. Jeżeli zaś pisarz poświęca scen kilka lub nawet akt cały wyłącznemu obznajomianiu widzów ze stosunkami osób, tedy w najlepszym nawet razie niewzbudza ciekawości i nudzi godzinę, aby przez dwie godziny następne zajmował. Tak się dzieje i w tym dramacie Pominąwszy zatem akt pierwszy, dwa następne sprawiają mocne wrażenie. Położenie dwoch przyjacioł i to zrzeczenie się dla przyjaźni szczęścia, jakie się obydwom jak najponętniej uśmiechało, miało coś w sobie nad wysłowienie uroczystego, co razem wzruszało i unosiło. Przyczyniała się do tych wrażeń dobra gra aktorów: pp. Bensa i Smochowski w rolach przyjacioł grali po mistrzowsku; oddać należy sprawiedliwość p Wierzbiańskiej, iż przejęta rolą Adolfa, grała ją z właściwem czuciem i wdziękiem. Dobrą grę p. Błotnickiego psuła ta drobna okoliczność, iż gdy w czasie wynurzeń wdzięczności i poświęcenia się uderzał się w piersi, kurzyło się z nich jak z komina; wyłogi bowiem białe munduru były za nadto krydą odświeżone, a publiczność miasto wzruszenia śmiała się.

Rita hiszpanka dramat z romansu Eugeniusza *Sue*, pod napisem: Wieża Koatwen przerobiony, przedstawiano 19 października.

Zdawało się na pierwszy rzut oka, że zamiarem autorów, bo było ich trzech! wystawić w osobie hiszpanki obraz cnoty niewieściej w najpiękniejszym blasku, narażanej, prześladowanej, ukaranej niewinnie, nareszcie usprawiedliwionej i zwycięskiej; lecz przypatrzywszy się bliżej, widzimy że to wszystko były tylko środki, a jedynym zamiarem efekt teatralny. Cała usilność autorów to tylko miała na widoku; i dla tego

cztery oddziały, z których ta sztuka się składa, łączą się z sobą jedynie tożsamością osób, a jednego głównego pomysłu nie mają Z żalem widzieć przychodzi jak nawet zdolni pisarze niezadają sobie pracy pogodzić żądania widzów z żądaniami umnictwa, a przecież takowe pogodzenie jest do uskutecznienia i od niego tylko rzetelna wartość tworu zależy. Sztuka o której mówimy, charakteryzuje dokładnie większość teraźniejszych francuskich dramatów, w których są w grze wszystkie namiętności: dla słabych przyczyn ruszone niebo i piekło, pełno przysady i wykrzykników, pełno błyskotek, bo chodzi tylko jedynie o efekt, a umnictwo zostaje na boku. O Ricie można pod tym względem powiedzieć, że jest w niej wiele nieprawdy, wiele nienaturalnych uczuć i położeń, wiele czczych rozmów bez przyczyny i zamiaru, wiele dziecinnej obawy i trosków łącznie z wielą głęboko schwytanemi pomysłami, ze znajomością najciekawszych odcieni namiętności ludzkich, i z położeniami prawdziwie dramatycznemi.

Prawdopodobieństwo jest niekiedy tak silnie naruszone, iż w czwartym oddziale trzeba koniecznie wierzyć, że służący Rity posiada od jakiegoś Araba maskę, która twarz piękną w mgnieniu oka w najbrzydszą przemienia. Ktokolwiekby niewierzył w to silnie, dla takiego sztuka ta skończyła się z trzecim oddziałem, a czwarty jest tylko parodią i wszystkie rzeczywiste niby cierpienia Rity śmieszyć go będą. Z takiemito poświęceniami wyższych celów szli autorowie tej sztuki za danem sobie hasłem: trzeba aby się sztuka na scenie utrzymała! czego poniekąd dopieli. Co do gry takowa była, może przez szczególną sympatię równie rozmaita jak sama wartość sztuki: p. Starzewska i p. Smochowski grali wybornie. Pan Rudkiewicz przyjął niewłaściwą mu rolę, z czego usprawiedliwia go łatwo brak osób przy tutejszej scenie. Pan Rajmers zdawał się nam przesadzać i dziwaczyć niekiedy.

Płochość ukarana dramat Józefa Korzeniowskiego w 5 aktach przedstawiano 23 października. Podwójnej przyjemności doznaliśmy tego wieczora: raz że po tylu przekładach, nierzadko dla nas niestosownych, pokazał się przecież twór oryginalny tak znakomitego polskiego pisarza; powtóre że po długiej przerwie ukazała się na scenie ulubiona artystka nasza pani Rudkiewiczowa, którą we właściwych jej rolach nikt niezastąpi. Kilka już razy z równem zadowoleniem widzieliśmy tę sztukę: nie jest ona jednym z tych lekkich tworów obliczonych jedynie na wrażenie teatralne, i według niego, jakkolwiek mocne sprawia, sądzoną być niepowinna; jest w niej podstawa umnicza stanowiąca jej duszę. Jestto właściwością tej sztuki, że przy całej prostocie układu nasuwa nam piękności za pięknościami, które całą naszą uwagę zajmują tak, że się poniekąd o to co nastąpi nietroszczym, a raczej niedaje nam czasu myśleć o przyszłości. Przekonywamy się ztąd jak dalece sztuka może być dobrą i podobać się bez trudnych zawikłań i intryg, za któremi się dawniej tak ubiegano, bez owych gwałtownych i przestrojonych namiętności, bez zbiegu nadzwyczajnych wypadków, za któremi się dziś ubiegają. Imbardziej w tej sztuce charaktery osób, ich stosunki i zatrudnienia są proste, tym więcej musi być umnictwa, kiedy się nam to wszystko tak powabne i świeże wydaje jakbyśmy je po raz pierwszy widzieli. Przejęci zapewne tyloma zaletami tej sztuki odpowiedzieli i aktorowie godnie ich powołaniu. Nie dodali oni grą swoją wartości danej sztuce, ale zrobili wiele kiedy jej żadnej piękności nie ujęli. Pojmujemy zatem i przebaczamy chętnie jeżeli się w innych przypadkach czasami mniej ochoczymi okażą.

L. D-B.

Rozmaitość.

Kupiec jeden sukienny rozłożywszy swój towar, wyszedł przed budę na rynek. Wtem znienacka ktoś z tyłu przychodzi i zakrywa mu silną dłonią oczy, z zapytaniem: kto on jest? Kupiec po kolei wymienia nazwiska swoich przyjaciół i znajomych. Za każdą wymianą śmiech słyszy. Nareszcie ten, co mu dłonią oczy zakrył, stawa przed nim, udaje pomieszanie, przeprasza grzecznie, że go miał za swego znajomego. Kupiec tymczasem przeciera pogniecione oczy i woła za oddalającym się: to bardzo nieprzystojne żarty, tego ja za dowcip nieuważam i t. d. Ale na nieszczęście przetarł sobie istotnie teraz oczy, i widzi, iż wczasie zgadywania imiom swoich przyjaciół, najpiękniejszą mu sztukę sukna ukradziono.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.